

# Marzenia są po to by je realizować

Napisano dnia: 2015-12-27 11:14:52

Dominik jest mieszkańcem Mirska, uczniem pierwszej klasy liceum. Jedną z jego pasji są podróże rowerowe. W minione wakacje wraz z rodzicami zwiedził Polskę przemierzając dwóch kołach dystans 3255 km na. W wakacje 2016 roku Dominik planuje podróż rowerem do Paryża.

- *Od wielu lat interesujemy się kolarstwem szosowym - ja, moja mama oraz tato. W tym roku pojechaliśmy w trójkę, ale tato dojechał tylko do Zakopanego, ponieważ musiał wracać do pracy. Jak wspominałem w relacji nie mieliśmy większego przygotowania. Nie było żadnego treningu wytrzymałościowego ani siłowego. Pojechaliśmy tak "z marszu".* - wyjaśnia **Dominik**. Wypad dookoła Polski nie był jednak pierwszą rodzinną, długodystansową przygodą. - *Nasze podróże rozpoczęliśmy w 2012 roku. Zaczęło się od Wrocławia (2012), następnie wycieczka po rodzinie (2013) i nad Morze Bałtyckie (2014).* - tłumaczy licealista. Dominik wspominając tegoroczny wyjazd wyjaśnia, iż to tegoroczna wycieczka była największym rodzinnym wyzwaniem.

- *Na początku było ciężko - za duże bagaże i te góry... Z każdym kolejnym dniem, poprzedni stawał się naszym "treningiem". Jak widać nie trzeba wielkiego przygotowania, ale wystarczą dobre chęci i wytrwałość. Niestety, jeżeli planuje się noclegi nie tylko pod namiotem, np. pokoje gościnne, to na pewno trzeba sobie zaoszczędzić dość sporą kwotę pieniędzy. Dla "potencjalnych naśladowców" powiem jeszcze, że trzeba bardzo uważać z ciężarem bagażu.* - dodaje Dominik.

**Nasza podróż rowerowa dookoła Polski rozpoczęła się 27 czerwca 2015 roku, czyli tuż po zakończeniu roku szkolnego.**

Niestety tego dnia pogoda nam nie sprzyjała, ale na całe szczęście nie zniechęciliśmy się i wyruszyliśmy w drogę, w kierunku Kowar. Był to jeden z najcięższych odcinków na całej trasie, ponieważ po dłuższej przerwie oraz bez większego przygotowania ciężko było „podjechać” (podejść) strome oraz ciągnące się kilometrami podjazdy, z którymi musieliśmy się zmierzyć na naszej drodze. Tego dnia przejechaliśmy tylko 91km (z Mirska do **Chełmska Śląskiego**).

W ciągu kilku kolejnych dni zdążyliśmy się już przyzwyczać do naszych ciężkich bagaży oraz wysokich wzniesień. Pogoda znacznie się poprawiła. Na nasze nieszczęście pojawiły się pierwsze upały, które według mnie są nawet gorsze dla rowerzystów niż deszcz (nie mówię tu o ulewach lub burzach). Towarzyszyły nam one aż do Gdańska, ale o tym później.

Pierwszy nocleg pod namiotem mieliśmy w Lewinie Kłodzkim (oprócz namiotu spaliśmy również w pokojach gościnnych oraz schroniskach - oczywiście nie dla psów). Osobiście nie byłem zachwycony, ale musiałem się do tego przyzwyczać. Przecież pod namiotem mieliśmy aż 15 noclegów.



Czwartego dnia około godziny 21:00 dojechaliśmy do Kietrza (był to 118km w tym dniu). Gdy zaczęliśmy rozkładać namiot na placu należącym do właściciela piekarni, zawołał nas Pan Paweł, który zaoferował nam możliwość rozbicia namiotu na Jego posesji oraz możliwość umycia się w ciepłej wodzie. Nie musieliśmy się długo zastanawiać. Oczywiście przyjęliśmy zaskakującą dla nas propozycję. Przed snem długo jeszcze rozmawialiśmy, ale wiedzieliśmy, że musimy iść jak najwcześniej spać. Przecież następnego dnia trzeba było pokonać kolejną „setkę”. Była to dla nas bardzo miła niespodzianka - nie byliśmy przygotowani na aż taką gościnność.

Szóstego dnia (piątego to był dopiero przedsmak) mogliśmy doświadczyć co to są prawdziwe góry oraz piękne widoki - tylko 38km w ciągu całego dnia. Było to zdecydowanie za mało, ale idąc prawie 6 godzin cały czas pod górę z bagażami to i tak dużo. Nastąpiły chwile zwątpienia, ale nie mogliśmy porzucić naszych planów. Udało się. Wygraliśmy ze zmęczeniem.



Siódmego dnia dotarliśmy praktycznie pod samo **Zakopane** (nocowaliśmy w góralskiej chatce z widokiem na Tatry), natomiast ósmego już do centrum Zakopanego, gdzie mieliśmy dzień wolnego. Zdobyliśmy **Gubałówkę**, przespacerowaliśmy się (nawet kilka razy) Krupówkami oraz wjechaliśmy (nie rowerami) na Kasprowy Wierch. Piękne widoki oraz dobra pogoda zachęcały nas do pozostania tam na dłużej, ale nie chcieliśmy zmieniać naszych planów.

Następnego dnia dojechaliśmy do **Szczawnicy** (widoki na **Pieniny i Dunajec**, wzdłuż którego jechaliśmy, są niezapomniane). W tej miejscowości, a właściwie niedaleko niej, doświadczyliśmy największą wpadkę całej podróży. Ja jako nawigator (razem z Krzysztofem Hołowczycem - AutoMapa) znalazłem świetny skrót (jak później nazwaliśmy były to tzw. znakomite skręty Krzysia), który, jak się okazało prowadził do źródła strumyka (na wysokości około 1000m n.p.m.). Płynął on na dodatek na terenie, na którym mogły znaleźć się tylko osoby do tego upoważnione (ścinka drzew). Wcześniejsze zakazy jednak nas nie zniechęciły i poszliśmy dalej. Przez cały dzień „wciągaliśmy” rowery tym strumykiem. Nie było nam wtedy do śmiechu, bo nie mogliśmy z żadnej strony wyjść (kilkunastometrowa ściana - góry). Musieliśmy zawrócić. W naszych dziennikach zapisaliśmy ten dzień jako „Dzień wolny” (ale naprawdę tak nie było).



Kolejne dni: góry, góry i jeszcze raz góry. Na naszej trasie pojawiło się kilka „tysięczników” (najwyżej położona przełęcz - około 1200m n.p.m.). **Bieszczady**. Było trochę niebezpiecznie. Pojawiły się ostrzeżenia o ryzyku spotkania niedźwiedzia, wilka oraz rysia. Przez wiele kilometrów nie było żadnego miasta. Mieliśmy na szczęście duże zapasy jedzenia (do czegoś były potrzebne te sakwy). Również tutaj osiągnęliśmy naszą największą prędkość - **około 72 km/h**. Mieliśmy dużo szczęścia. Akurat w tym miejscu „nasza polska droga” była dobrze zrobiona (nie było żadnych dziur).

Południową granicę Polski zakończyliśmy w **Ustrzykach Górnych**, ale nie mieliśmy tam noclegu. Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy dalej, w kierunku Przemyśla. Nocleg znaleźliśmy dopiero w Jureczkowej (wiosce położonej za Ustrzykami Dolnymi).

Dzień szesnasty. Dopiero tego dnia przejechaliśmy satysfakcjonujący mnie dystans (142km). Przy okazji powiem, że ludzie na wschodzie są bardzo pomocni i gościnni, ale za to można powiedzieć, że tamtejsza baza noclegowa praktycznie nie istnieje (ciężko było znaleźć camping, a co dopiero pokój gościnny). Widoki też nie zachwycają (przynajmniej mnie), chyba że ktoś lubi oglądać cerkiewki oraz ogromne pola uprawne. *tour-de-polska-02* Tam nadrobiliśmy stracone kilometry z południa. Na swojej drodze mamy m.in. **Horyniec-Zdrój i Hrubieszów**.

Dnia dwudziestego dotarliśmy do Białowieży, która słynie z Białowieskiego Parku Narodowego. Następnego dnia miał być wolny (zwiedzanie BPN), ale brak miejsc noclegowych zmusił nas do tego, że musieliśmy dojechać do **Białegostoku**. Ostatnie kilometry tego dnia nie należały do przyjemnych. Jechaliśmy drogą krajową prowadzącą do granicy z Białorusią. Tamtejsi kierowcy nie są zbyt ostrożni. Kilka razy zdarzyło się, że musiałem zjeżdżać na krawędź pobocza (obok rów), aby nie zderzyć się z kierowcą, który jechał ze mną na „czołówkę” z prędkością przekraczającą dozwoloną (90 km/h). Dotarliśmy do miasta wojewódzkiego. Po długim szukaniu noclegu (bez nawigacji - rozładowana bateria) znaleźliśmy SSM (Szkolne Schronisko Młodzieżowe). Po noclegu z Rosjanami wyruszyliśmy na północ (**Suwałki**). Byliśmy lekko zdziwieni wzniesieniami, które tam się znajdują (niektóre nawet ponad 300m n.p.m.).

Granica wschodnia zaliczona. Teraz czas na północ. Trójstyk granic - Polska, Rosja i Litwa. Warmia i Mazury (m.in. **Gołdap, Węgorzewo i Pieniężno**) bardzo mi się podobały, ale wiał tam niestety silny wiatr, który czasami uniemożliwiał jazdę, a oprócz tego te krótkie i męczące wzniesienia.

Przez kolejne dni utrzymaliśmy nasz średni dzienny dystans (ponad 120km), aż przybyliśmy do **Sopotu**, w którym

byliśmy w ubiegłym roku również rowerami. Tam zagościliśmy trochę dłużej - 4 dni wolnego (nocleg pod namiotem). Oczywiście znowu poszliśmy na moło oraz spacerowaliśmy po trójmiejskiej plaży. No i niestety tam pogoda się nam popsowała, aż do końca północnej granicy.



Większość trasy przejechaliśmy ścieżkami rowerowymi wzdłuż Morza Bałtyckiego (m.in. **Ustka, Darłowo i Kołobrzeg**). Widoki były piękne, ale pogoda już nie. Po 4 dniach dojechaliśmy do Wolina (34 dzień podróży), gdzie nocowaliśmy w SSM (a właściwie w szkole podstawowej). Kolejny dzień to był nasz rekord życiowy. Przejechaliśmy aż 177km, a zesliśmy z rowerów dopiero około godziny 22:30. Czas dojazdu nam się trochę wydłużył, ponieważ na trasie musieliśmy ominąć wypadek (jak się później okazało - śmiertelny).

Przez **Szczecin** dotarliśmy do **Kostrzyna nad Odrą**, gdzie akurat odbywał się festiwal Woodstock, o którym nie wiedzieliśmy. Drogi były tam zablokowane z powodu ogromnej ilości uczestników festiwalu. Dwóch z nich chciało nas nawet wnieść na scenę, ale nie byliśmy zbyt na to przygotowani. Dojechaliśmy do Gubina, gdzie wjechaliśmy na ścieżkę rowerową, która prowadziła wałem przeciwpowodziowym wzdłuż Nysy Łużyckiej. Trasa była bardzo łatwa i przyjemna. Praktycznie brak wzniesień. Malownicze widoki, które doprowadziły nas, aż do **Zgorzelca**.

Ostatni dzień podróży. Trasa ze Zgorzelca do Mirska była tylko formalnością. Tak też się stało. Wkroczyliśmy w znane nam tereny. Do Mirska dotarliśmy przed godziną 14:00 (**3 sierpnia 2015 roku**). Zdążyliśmy jeszcze zdobyć pieczątki z Urzędu Miasta, które potwierdzają nasz przejazd.

Cała nasza podróż została udokumentowana w specjalnej książeczce PTTK. Odebraliśmy odznaki za osiągnięcie „**Małego Rajdu Kolarskiego Dookoła Polski**”. W sumie **przebyliśmy 3255 km w 38 dni, w tym 6 dni wolnych**. Najwyżej położony punkt na trasie był w Tatrach - przełęcz na **wysokości około 1200m n.p.m.** Największy przebyty dystans w ciągu dnia miał miejsce na trasie z Wolina do Sarbinowa - **177 km**. Największa prędkość została osiągnięta w **Bieszczadach - około 72 km/h**.

Na przyszłe wakacje planujemy (przynajmniej ja) wycieczkę do Paryża i/lub Londynu, a kiedyś może poza nasz kontynent.

[Galeria zdjęć z podróży >>>](#)

*autor relacji: Dominik Kułaga*